

Andrzej Koziół
GOŚCINIEC



Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2011

Korekta
Władysława Bulsza

Projekt okładki
Paweł Sepielak

ISBN 978-83-7505-682-2

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-256 • faks 12 43 03 210
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA INTERNETOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

Spis rozdziałów

rozdział I	str.	7
rozdział II	str.	15
rozdział III	str.	25
rozdział IV	str.	33
rozdział V	str.	41
rozdział VI	str.	51
rozdział VII	str.	61
rozdział VIII	str.	71
rozdział IX	str.	79
rozdział X	str.	93
rozdział XI	str.	107
rozdział XII	str.	117
rozdział XIII	str.	129

Niniejsza książka jest powieścią i jeżeli nawet zdarza się, że padają w niej autentyczne imiona oraz nazwiska, nie zmienia to jej fikcyjnego charakteru.

I

G ościniec był zawsze, od setek lat biegł od Lisów-ki w stronę lasu zwanego Borkiem, przebijał się przez leśną gęstwinę, przekraczał rzeczkę Czarną, aby pod kątem prostym skręcić ku Jastrzębicom Nowym. Na zakręcie, z murowanej, pobielonej na niebieskawo kapliczki, na wędrowców spoglądała Madonna – w koronie połyskującej resztkami złota, z Dzieciątkiem przytulonym do granatowo-złotej szaty.

W Jastrzębicach było siedemdziesiąt pięć Madonn – na papierze i na płótnie, z porcelany i gipsu, w domach i w kościele. Najwięcej Tuchowskich i Jasnogórskich, chociaż trafiały się Ostrobramskie, i nawet Matka Boska Szamotulska oraz dwie Szczyrzyckie. Jednak przydrożna Madonna była wyjątkowa. Kiedyś – kiedy tego nikt nie wiedział – przyniosła ją woda. Rzeka Czarna poszalała na wiosnę, przetoczyła się falą wysoką na dwóch chłopów, a gdy opadła, wśród naniesionych gałęzi, w miejscu, w którym kiedyś miał stanąć młyn Pytla, ludzie znaleźli Madonnę. Kiedy spod warstwy mułu

błysnęło złoto korony i różowość policzków, kiedy pojawiło się Dzieciątko wtulone w usiany złotem, fałdzisty granat sukni, baby obmywające Madonnę padły na kolana. A gdy stanęła kapliczka z polnych kamieni, przysadzista, przykryta gontowym daszkiem, wszyscy uznali, że na Jastrzębice Nowe spłynęła szczególna łaska, że Madonna Przyniesiona przez Wodę ochroni wieś przed powodzią, że Strażniczka Gościńca nie przepuści zła przychodzącego ze świata, zza ciemnej ściany lasu.

Uwagi Strażniczki Gościńca

Gościńcem musiał wędrować każdy odwiedzający Jastrzębice, musiał go przemierzyć każdy opuszczający wieś i każdy przechodził obok mojej kapliczki, a raczej kapliczek, bo co pewien czas, kiedy deszcze wymyły glinę spajającą polne kamienie, chłopci stawiali nowe schronienie dla mnie, Strażniczki Gościńca, Madonny Przyniesionej przez Wodę. Na czas przebudowy uroczyście przenoszono mnie do pobliskiego domu. Stałam na półce, wśród papierowych kwiatów, wśród suchych bukietów poświęconych w dniu Matki Boskiej Zielnej.

Stałam w chłodnej izbie z poduszkami wysoko spiętrzonymi na łóżku, za moimi plecami wisiały święte obrazy. Zza zamkniętych drzwi dobiegały odgłosy kuchennej krzątania, zapach gotowanych ziemniaków, kapusty z grochem, dobrze omaszczonej sadłem, i chleba pieczonego w ogromnym piecu. Raz na kilkadziesiąt lat byłam świadkiem ludzkiego bytowania, ludzkich narodzin, ludzkiej śmierci i ludzkiej codzienności. Czasami, abym za wiele



nie widziała, młoda gospodyni przykrywała mnie chustą przed wślizgnięciem się pod pierzynę, obfitą i białą niczym chmura na błękitnym niebie. A później uroczyście, ze śpiewami, przenoszono mnie do nowej kapliczki, pachnącej wapnem i drewnem, abym znów była Strażniczką Gościńca.

Stałam więc, wpatrzona w gościniec, nocą wsluchana w leśne sowy pohukiwania, w dzień w pszczelą krzątanię; mała lipka przy mojej kapliczce z czasem zamieniła się w dużą lipę, wreszcie w lipę olbrzymią. Czułam się jej krewną, bo przecież kiedyś, Bóg wie kiedy, zostałam wystrugana z lipowego pnia. I patrzyłam na gościniec, na ludzi, których przybywało. Szli pieszo, jeździli wozami, czasami konno. Boso, w butach z cholewami, w chodakach. Kiedy jeszcze w Jastrzębicach nie zbudowano kościoła, co niedzielę ludzie ciągnęli do Lisówki, na piersiach niektórych wisiały przewieszane buty, bo jeżeli już ktoś miał obuwie, nie wypadało mu stawać boso przed ołtarzem, więc nie buty go niosły, ale on buty, a później, przed wejściem do kościoła, przecierał stopy, wzuwał chodaki i wchodził w ciemną czelusć świątyni. I jeszcze przed drugą z wielkich wojen, nawet po niej, niektórzy od wiosny do jesieni chodzili boso, co – jak sądziłam – mogło być przyjemne: miękkość piasku nagrzanego przez słońce, jego pieszczotliwe przesypanie się pomiędzy palcami.

Kościół domagał się butów, przede mną, codzienną, nie coniedzielną, wypadało stawać z boscymi stopami, więc nawet kiedy w maju wokół mojej kapliczki na wspólne śpiewy zbierały się baby, rzadko która przychodziła obuta, a bywało, że jakaś zapomniała o zdjęciu omączzonego fartucha, bo przybiegła wprost od rozgrzanego, buchającego żarem pieca i jej ręce pachniały chlebowym zakwasem, wonią drewnianej dzieżki, w której pęczniało ciasto.

Wszyscy podążający gościńcem uchylali przede mną kapelusza, zdejmowali czapki, żegnali się zamasyście, albo leniwie, od niechcenia kreślili na piersiach znak krzyża. Wszyscy z wyjątkiem Żydów, z wyjątkiem Tewjego, którego chociaż miał niewiele ponad trzydzieści lat i zaledwie kilka siwych nitok w sutej brodzie, nazywano Starym.

Jednak Tewje zawsze na chwilę zatrzymywał się przed kapliczką, patrzył na mnie, na moją złotą koronę, na Dzieciątko, kręcił głową i wdychał. Może dziwił się, że kiedyś żydowska dziewczyna – kto wie, może podobna do jego wielkookich córek – urodziła Mesjasza, ale innego niż ten, na którego czekali pobratymcy Tewjego, urodziła rozpiętego na krzyżu Boga gojów, skrwawionego, z cierniami wbitymi w czoło.

Tewje stał przez chwilę, myślał, a później uchylał kapelusza – nieznacznie, prawie niedostrzegal-

nie. On, który powinien stawać przed Panem z nakrytą głową, któremu nie wolno było bez nakrycia przebywać pod gołym niebem, zdobywał się na gest godny człowieka naprawdę dobrze wychowanego.

Inni Żydzi – zazwyczaj zaaferowani, zabiegani – nie zwracali na mnie uwagi. Dreptali gościńcem, przejeżdżali wozami zaprzęgniętymi w wynędzniałe konie. Czasami gestykulując, dławiąc się własnym głosem, przebiegał siwy, długowłosy starzec, w zrudziałym, pogiętym cylindrze. Poły staroświeckiego surduta dotykały jego pięt, a on biegł w poszukiwaniu telefonu.

– Wien! – krzyczał starzec. – Telefon!

Za nim, z przekrzywioną peruką, obsypana malinami potu biegła żona Tewjego.

Zazwyczaj obok młyna Pytla starcowi brakowało tchu. Ciężko dysząc, opierał się o balustradę mostu i wtedy dopadała go żona Tewjego.

– Meszuce – mówiła z łagodnym gniewem – meszuce z ciebie, tu nie ma żadnego telefonu.

I starzec, oddany na wieś przez rodzinę z Tarnowa, chwiejąc się na chudych nogach, wracał do domu Tewjego. Ciągle żył w czasach, w których panował dobry stary cesarz, a on – młody i bogaty – codziennie rano, z zapachem kawy w ustach, z wargami lśniącymi od tłustej śmietanki, wsiadał do powozu i jechał do swojej firmy, do biura w centrum Tarnowa.

Żydzi należeli do obcych, ale jednocześnie byli swoi. Podobnie chłopci z Katar, śródleśnej wsi – wszyscy niscy okrągłogłowi, czarniawi, jadąc gościncem, kołysali się na swych furmankach niczym ich przodkowie na końskich grzbietach. W leśnej głuszy tatarskich jeńców osadził książę. Z czasem schłopieli, stali się katolikami, ale pozostała im miłość do koni i tatarska popędliwość. Mieszkańcy Katar uchodzili za największych bitników w okolicy. Potrafili wędrować kilometrami, aby zjawić się na weselu – z nadzieją na kawałeczek kołacza i solidną bójkę. Z kościoła w Jastrzębicach wychodzili zbitą gromadą, wilczo, spode łbów spoglądając na miejscowych. A miejscowi – też czarni, ale wysocy, z nosami haczykowatymi – odpowiadali równie zaczepnie. I bywało, że od czasu do czasu parobczaki z Katar tworzyli za kościołem zwarty kłęb z parobczakami z Jastrzębic. Ci z Katar rwali sztachety z cmentarnego płota, rzucali się na jastrzębiaków niczym szarżujące byki, pochyleni, z głowami do przodu. I było tak dopóki pomiędzy walczących nie weszli dorośli chłopci, którzy chwyтали bitników za karki, odrzucając ich od siebie z taką samą łatwością, z jaką wrzucali na wóz snopy żyta.

Żydzi byli swojo-obcy, podobnie Tatarzy z Katar, za naprawdę obcych uważano Cyganów, bo i Żydzi, i mieszkańcy Katar skądś byli, mieli swoje miejsce na Ziemi, swoje chałupy, zaś Cyganie pochodzili

znikąd, czyli zewsząd. Nie byli wrośniętymi w ziemię krzakami, ale wędrownymi ptakami, malowniczymi niczym kraski i drapieżnymi jak jastrzębie.